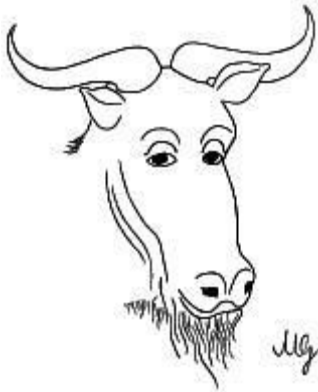


Autor: [Richard Stallman](#)



W jaki sposób prawo autorskie przybrało postać diametralnie przeciwną do jego ustalonego celu? I jak możemy przywrócić mu zgodność z tym celem? Aby to zrozumieć, należy zacząć od spojrzenia na rdzeń amerykańskiego prawa autorskiego: Konstytucję Stanów Zjednoczonych.

Prawo autorskie w Konstytucji Stanów Zjednoczonych

Podczas prac nad Konstytucją Stanów Zjednoczonych zaproponowano, aby autorzy byli uprawnieni do monopolu na prawa autorskie — pomysł ten odrzucono. Założyciele naszego kraju przyjęli inne rozwiązanie, mianowicie, iż prawo autorskie nie jest naturalnym prawem autorów, lecz sztuczną koncesją przyznaną im na rzecz postępu. Konstytucja zezwala na system prawa autorskiego tym przepisem (Artykuł I, paragraf 8):

[Kongres ma prawo] popierać rozwój nauki i użytecznych umiejętności przez zapewnienie na określony czas autorom i wynalazcom wyłącznych praw do ich dzieł czy wynalazków.

Sąd Najwyższy wielokrotnie podkreślał, że poparcie dla postępu oznacza korzyści dla użytkowników utworów chronionych prawem autorskim. Na przykład w sprawie Fox Film przeciwko Doyal sąd orzekł,

Wyłączny interes Stanów Zjednoczonych i główny cel przyznania monopolu na prawo autorskie leży w powszechnych korzyściach, czerpanych przez ogół z pracy autorów.

Ta fundamentalna decyzja wyjaśnia, dlaczego prawo autorskie nie jest przez Konstytucję **wymagane**, a jedynie **dozwolone** jako alternatywa — i dlaczego ma być przyznane na „ograniczony okres”. Jeśli prawo autorskie byłoby prawem naturalnym, czymś, co autorzy mają, ponieważ na nie zasługują, nic nie mogłoby usprawiedliwić wygasania tego prawa po upływie określonego czasu, tak jak nie powiemy, że czyjś dom powinien stać się własnością ogółu po upływie określonego czasu od jego wzniesienia.

Transakcja prawa autorskiego

System prawa autorskiego działa zapewniając przywileje a zatem korzyści dla wydawców i autorów; ale nie robi tego dla ich dobra. Robi to celem zmiany ich zachowania: ma dać autorom bodziec, by pisali więcej i więcej wydawali. W rezultacie rząd używa naturalnych praw ogółu, w imieniu ogółu, jako elementu umowy mającej na celu dostarczenie ogółowi większej ilości wydanych utworów. Prawnicy nazywają tę koncepcję transakcją prawa autorskiego, *copyright bargain*. Przypomina to rządowy zakup autostrady lub samolotu za pieniądze podatników, z tą różnicą, że zamiast naszymi podatkami, rząd płaci naszą wolnością.

Ale czy transakcja w istniejącej postaci jest dobra dla ogółu? Istnieje wiele innych możliwych rozwiązań; które jest najlepsze? Każde zagadnienie polityki wobec prawa autorskiego jest częścią tego pytania. Jeśli niewłaściwie zrozumiemy istotę problemu, będziemy mieli tendencje do dokonania niewłaściwego rozstrzygnięcia.

Konstytucja zezwala na przyznanie uprawnień na mocy prawa autorskiego autorom. W praktyce autorzy zwykle cedują je na rzecz wydawców; na ogół to wydawcy, nie autorzy, wykorzystują te uprawnienia i osiągają większość korzyści, chociaż autorzy mogą otrzymać ich małą część. Tak więc zwykle to wydawcy prowadzą lobbing na rzecz zwiększenia uprawnień przyznawanych przez prawo autorskie. Aby lepiej odzwierciedlić nie mit, ale rzeczywisty stan prawa autorskiego, w tym artykule mówi się o wydawcach, a nie o autorach, jako tych, którym przysługują prawa autorskie. Podobnie nazywa się w nim użytkowników „czytelnikami” — mimo że używanie prac objętych prawem autorskim nie zawsze przyjmuje postać czytania — ponieważ „użytkownicy” brzmi mgliście i abstrakcyjnie.

Pierwszy błąd: „zachowanie równowagi”

Transakcja prawa autorskiego, *copyright bargain*, stawia na pierwszym miejscu ogół: korzyść dla czytającego ogółu jako cel sam w sobie; korzyści dla wydawców są tylko środkiem na osiągnięcie tego celu. Interesy czytelników i wydawców mają jakościowo różne priorytety. Pierwszym krokiem ku złemu zrozumieniu celu prawa autorskiego jest wyniesienie wydawców na ten sam szczebel doniosłości co czytelników.

Często mówi się, że amerykańskie prawo autorskie ma na celu „zachowanie równowagi” pomiędzy interesami wydawców i czytelników. Ci, którzy powołują się na ten punkt widzenia, przedstawiają go jako ponowne przedstawienie podstawowego założenia konstytucji; innymi słowy, ma to być odpowiednik *copyright bargain*.

Ale tym dwóm interpretacjom daleko do tego, by były równoznaczne. Są różne pojęciowo i różne są ich konsekwencje. Koncepcja równowagi zakłada, że interesy czytelników i wydawców różnią się ważnością tylko ilościowo, tym, „jaką wagę” powinniśmy im przypisać i do jakich okoliczności się odnoszą. Często dla ujęcia kwestii praw autorskich w te ramy używa się określenia „grupy interesu”, zakładającego, że wszystkie interesy brane pod uwagę przy kształtowaniu polityki decyzyjnej są tak samo istotne. Ten pogląd odrzuca koncepcję, iż interes czytelników jest jakościowo różny od interesu wydawców, koncepcję leżącą u podstaw udziału rządu w *copyright bargain*.

Konsekwencje tej zmiany są daleko idące, ponieważ ochrona ogółu występująca w *copyright bargain* — idea mówiąca, iż przywileje płynące z prawa autorskiego mogą być usprawiedliwione tylko w imię dobra czytelników, nigdy w imię wydawców — zostaje w interpretacji „równowagi” odrzucona. Skoro interes wydawców jest postrzegany jako cel sam w sobie, może uzasadniać przywileje płynące z prawa autorskiego; innymi słowy koncepcja „równowagi” mówi, że przywileje mogą być uzasadnione w imię kogoś innego niż ogół.

W praktyce, konsekwencją koncepcji „równowagi” jest odwrócenie obowiązku uzasadniania zmian w prawie autorskim. *copyright bargain* obarcza wydawców obowiązkiem przekonania czytelników do tego, żeby zrzekli się pewnych swobód. Koncepcja równowagi praktycznie rzecz biorąc przerzuca ciężar uzasadniania na czytelników, ponieważ nie ma najmniejszych wątpliwości, że wydawcy osiągną korzyść z dodatkowych przywilejów. Tak więc jeśli nie udowodnimy szkody, którą poniosą czytelnicy, i to w stopniu, który „przeważałby” korzyści wydawców, będziemy na najlepszej drodze do konkluzji, iż wydawcy są uprawnieni do każdego przywileju, jakiego sobie zażyczą.

Ponieważ idea „zachowania równowagi” pomiędzy wydawcami a czytelnikami pozbawia czytelników prymatu, do którego są uprawnieni, musimy ją odrzucić.

Równoważenie czego?

Kiedy rząd kupuje coś dla ogółu, działa w imieniu ogółu; jego odpowiedzialnością jest zawarcie jak najlepszej umowy — najlepszej dla ogółu, nie dla drugiej strony porozumienia.

Na przykład przy podpisywaniu umów z firmami budowlanymi o budowę autostrad, rząd stara się wydać jak najmniej pieniędzy podatników. Agencje rządowe rozpisują przetargi, aby obniżyć cenę do minimum.

Cena nie może być zerowa, ponieważ kontrahenci nie zaoferują takiej ceny. Pomimo iż nie mają prawa do wyjątkowego traktowania, przysługują im jednak prawa każdego obywatela w wolnym społeczeństwie, w tym prawo do odmowy zawarcia niekorzystnej umowy; warto zaznaczyć, iż nawet najniższa oferta będzie wystarczająca, aby kontrahent zarobił pieniądze. Tak więc istnieje tutaj swoista równowaga. Ale nie jest to zamierzona równowaga dwóch interesów, z którego każdy domaga się specjalnego traktowania. Jest to równowaga pomiędzy celem [dobrem] ogółu i mechanizmami rynkowymi. Rząd stara się zawrzeć na rzecz płacących podatki kierowców najlepszą umowę, jaka jest możliwa w kontekście wolnego społeczeństwa i wolnego rynku.

W *copyright bargain* rząd zamiast naszymi pieniędzmi płaci naszą wolnością. Wolność jest cenniejsza niż pieniądze, więc odpowiedzialność, aby dysponować nią mądrze i oszczędnie, jest jeszcze większa niż odpowiedzialność za wydawanie naszych pieniędzy. Rządy nigdy nie mogą stawiać interesów wydawców na równi z wolnością ogółu.

Nie „równowaga” a „kompromis”

Pomysł równoważenia interesów czytelników z interesami wydawców jest nieprawidłową metodą oceny polityki w kwestii prawa autorskiego, ale w rzeczy samej mamy dwie grupy interesów do zważenia: dwie grupy interesów **czytelników**. Czytelnicy mają interes w swojej własnej wolności do korzystania z opublikowanych utworów i zależnie od okoliczności mogą także mieć interes w popieraniu publikowania, poprzez pewnego rodzaju system zachęt.

Słowo „równowaga” w kontekście prawa autorskiego utarło się jako znak sygnalizujący ideę zachowania równowagi między czytelnikami i wydawcami. Tak więc użycie słowa „równowaga” w odniesieniu do obu grup interesów czytelników byłoby mylące — potrzebujemy innego pojęcia.

Generalnie, kiedy jedna ze stron ma dwa cele, które w pewnym stopniu wzajemnie się wykluczają, i niemożliwa jest pełna realizacja każdego z nich, mówimy, że jest to sytuacja typu „coś za coś”, konieczny jest „kompromis”. Tak więc, zamiast mówić o zachowaniu równowagi między stronami, powinniśmy mówić o „znalezieniu właściwego kompromisu pomiędzy poświęceniem naszej wolności a jej zachowaniem”.

Drugi błąd: maksymalizacja zdolności wytwórczej

Drugi błąd w polityce wobec kwestii praw autorskich polega na przyjęciu za cel maksymalizacji — a nie tylko zwiększenia — ilości wydawanych utworów. Błędna interpretacja „zachowania równowagi” wyniosła wydawców na równy poziom z czytelnikami; ten drugi błąd umiejscawia ich o wiele wyżej niż czytelników.

Kiedy coś kupujemy, zwykle nie kupujemy wszystkiego, co jest na stanie albo najdroższej możliwej wersji produktu. Zamiast tego zachowujemy środki na inne zakupy, przez kupno produktu, który spełnia nasze potrzeby, i przez wybranie odpowiadającego nam modelu zamiast kupna modelu najwyższej możliwej jakości. Zasada malejących przychodów zakłada, że wydanie wszystkich środków na jedno określone dobro nie stanowi efektywnej alokacji środków; staramy się raczej zachować trochę pieniędzy na inne cele.

Zasada malejących przychodów odnosi się do prawa autorskiego tak samo jak do innych zakupów. Pierwszymi wolnościami, które powinniśmy przehandlować są te, których najmniej będzie nam brakować, a które dają największy bodziec do publikacji. W miarę jak pozbywamy się coraz bliższych nam wolności, zauważamy że każda z transakcji jest większym poświęceniem niż ostatnia, a przynosi mniejsze korzyści dla aktywności literackiej. Długo zanim ten przyrost wyniesie zero zobaczymy, że nie jest wart swojej ceny. Tak więc zgodzilibyśmy się na układ, którego rezultatem jest zwiększenie ilości publikacji, ale nie do najwyższego możliwego stopnia.

Przyjęcie za cel ilościowej maksymalizacji publikacji z góry odrzuca wszystkie mądrzejsze, korzystniejsze transakcje — dyktuje, że ogół musi scedować prawie całą

swoją wolność do korzystania z utworów, w zamian za tylko trochę większą liczbę publikacji.

Retoryka maksymalizacji

W praktyce, cel maksymalizacji publikacji bez względu na koszty wolności jest wspierany przez szeroko rozpowszechnioną retorykę, utrzymującą, że publiczne kopiowanie jest bezprawne, niesprawiedliwe i wewnętrznie złe. Na przykład, wydawcy nazywają ludzi, którzy kopią „piratami”, oczerniającym określeniem nakierowanym na zrównanie dzielenia się informacją z sąsiadem z zaatakowaniem statku (ten oczerniający termin był wcześniej używany przez autorów na określenie wydawców, którzy znaleźli zgodne z prawem sposoby na wydawanie dzieł bez zgody autora; jego współczesne stosowanie przez wydawców jest prawie że odwrotne). Ta retoryka bezpośrednio odrzuca konstytucyjną podstawę prawa autorskiego, ale przedstawia siebie samą jako reprezentującą niekwestionowaną tradycję amerykańskiego systemu prawnego.

„Piracka” retoryka jest zwykle akceptowana, ponieważ zalewa media do tego stopnia, że niewiele osób zdaje sobie sprawę, iż jest skrajna. Jest efektywna, ponieważ jeśli kopiowanie przez ogół jest fundamentalnie bezprawne, to nigdy nie możemy się sprzeciwić żądaniom wydawców, żebyśmy zrezygnowali z naszej wolności do kopiowania. Innymi słowy, kiedy społeczeństwu rzuca się wyzwanie, aby pokazało, dlaczego wydawcy nie powinni otrzymać dodatkowych uprawnień, najważniejszy powód ze wszystkich — „chcemy kopiować” — zostaje z góry zdyskwalifikowany.

To nie pozostawia żadnego sposobu na walkę z narastającą władzą prawa autorskiego poza powoływaniem się na kwestie uboczne. Dlatego też osoby przeciwstawiające się rosnącej władzy prawa autorskiego obecnie powołują się prawie wyłącznie na kwestie drugorzędne, i nigdy nie ośmielają się podnieść kwestii wolności do dystrybucji kopii jako prawnie usankcjonowanej wartości społecznej.

Praktyczny rezultat jest taki, że cel maksymalizacji pozwala wydawcom na argumentowanie, że „określona praktyka [działanie] zmniejsza rozmiary naszej sprzedaży — albo podejrzewamy, że może zmniejszyć — tak więc zakładamy, że w pewnym nieokreślonym stopniu zmniejsza ilość publikacji, i z tego też powodu powinna być zakazana”. Doprowadza nas to do szokującego wniosku, iż dobro ogółu jest mierzone przez rozmiary sprzedaży wydawców: to, co dobre dla General Media, jest dobre dla USA.

Trzeci błąd: maksymalizacja władzy wydawców

Od kiedy wydawcy uzyskali akceptację idei, że celem praw autorskich ma być maksymalizacja produkcji wydawniczej za wszelką cenę, ich następnym krokiem stało się podsuniecie wniosku, że wymaga to przyznania im maksymalnych możliwych uprawnień — sprawienie, aby prawo autorskie pokrywało każde możliwe wykorzystanie utworu, lub zastosowanie innych prawnych narzędzi, jak np. „licencje zafoliowane”, shrink-wrap^[*], dla osiągnięcia tego samego efektu. Ten cel pociąga za sobą zniesienie

„dozwolonego użytku” i „prawa pierwszej sprzedaży” jest forsowany na każdym możliwym szczeblu rządowym, od poszczególnych stanów USA aż do organów międzynarodowych.

Ten krok jest błędny, ponieważ surowe przepisy prawa autorskiego blokują powstawanie nowych utworów. Na przykład, Shakespeare zapożyczył wątki kilku swoich sztuk z innych sztuk, opublikowanych kilkadziesiąt lat wcześniej, tak więc jeśli wówczas obowiązywałoby dzisiejsze prawo autorskie, jego sztuki byłyby nielegalne.

Nawet gdybyśmy chcieli osiągnąć największą możliwą ilość publikacji, niezależnie od kosztów dla ogółu, maksymalizacja uprawnień wydawców nie jest odpowiednią drogą. Jako środek wspierania postępu, przeczy on sam sobie.

Rezultaty trzech błędów

Aktualnym nurtem w legislacji dotyczącej praw autorskich jest wręczanie wydawcom szerszych uprawnień na dłuższe okresy czasu. Konceptualny fundament prawa autorskiego, wyłaniający się z serii błędów, rzadko zezwala powiedzieć nie. Legislatorzy plotą frazesy, jakoby ideą prawa autorskiego była służba ogółowi, kiedy tak naprawdę dają wydawcom czegośkolwiek ci sobie zażyczą.

Na przykład oto co powiedział senator Hatch, kiedy przedstawiał S. 483, akt prawny z 1995 roku przedłużający o 20 lat okres, na jaki przysługują prawa autorskie:

Wierzę, że jesteśmy teraz w takim właśnie punkcie, jeśli chodzi o kwestię, czy aktualny okres ochronny przyznawany przez prawo autorskie adekwatnie chroni interesy autorów oraz o powiązaną z tym kwestię, czy tenże okres zapewnia wystarczającą zachętę dla tworzenia nowych utworów.

Akt poszerzył działanie przepisów prawa autorskiego na utwory już opublikowane, począwszy od napisanych w latach 1920. Był to podarunek dla wydawców bez żadnej korzyści dla ogółu, ponieważ nie ma możliwości, aby z mocą wsteczną zwiększyć liczbę książek opublikowanych w tamtych czasach. A jednak ogół kosztowało to wolność, która ma dziś niebagatelne znaczenie — wolność rozpowszechniania książek z tamtego okresu.

Akt rozszerzył także prawa autorskie na utwory, które zostaną dopiero napisane. Utwory napisane na zamówienie objęte zostaną 95-letnim okresem ochronnym, zamiast dotychczasowym 75-letnim. Teoretycznie powinno stanowić to zachętę do pisania nowych utworów; jednak każdy wydawca, który twierdzi, iż potrzebuje tej dodatkowej zachęty, powinien poprzeć żądanie przewidywanymi zestawieniami bilansowymi na rok 2075.

Zbytecznie dodawać, iż Kongres nie zakwestionował argumentów wydawców: akt prawny rozszerzający prawo autorskie ustanowiono w 1998. Był to tzw. „Sonny Bono Copyright Term Extension Act”, „Ustawa Sony'ego Bono przedłużająca okres działania

praw autorskich”, nazwana po jednym z jej orędowników, który zmarł wcześniej tego samego roku. Wdowa po nim złożyła następujące oświadczenie:

Faktycznie, Sonny chciał, żeby prawo autorskie trwało wiecznie. Zostałam poinformowana przez personel, iż taka zmiana naruszałaby Konstytucję. Zapraszam wszystkich do pracy razem ze mną celem wzmocnienia przepisów prawa autorskiego na wszelkie możliwe sposoby. Jak wiecie, padła też propozycja Jacka Valentiego, aby trwały wiecznie minus jeden dzień. Być może komisja zajmie się tym za następnego Kongresu.

Sąd Najwyższy zgodził się rozpatrzyć sprawę dotyczącą obalenia prawa na podstawie tego, iż rozszerzenie z mocą wsteczną nie służy Konstytucyjnej zasadzie wspierania postępu.

Inny akt prawny, przyjęty w 1996, spowodował, że przestępstwem stało się wykonanie większej ilości kopii jakiegokolwiek opublikowanego utworu, nawet jeśli chcesz je rozdać przyjacielom tylko po to, by być miłym. Wcześniej nie było to przestępstwem w Stanach Zjednoczonych.

Jeszcze gorsze prawo, „Digital Millennium Copyright Act” (DMCA, „Ustawa o prawach autorskich w cyfrowym tysiącleciu”), ułożone w celu przywrócenia zabezpieczeń przed kopiowaniem (czego nie znoszą użytkownicy komputerów). Zgodnie z nim jako przestępstwo traktowane jest łamanie takich zabezpieczeń, a nawet samo publikowanie informacji, jak je złamać. Ten akt powinien zostać nazwany: „Ustawa o Dominacji Korporacji Medialnych”, ponieważ w efekcie pozwala wydawcom na spisanie ich własnego prawa autorskiego. Stwierdza, że mogą nałożyć dowolne restrykcje na użycie utworu, a te restrykcje mają moc prawa, jeśli tylko utwór zawiera jakiś rodzaj szyfrowania lub menedżera licencji, aby je egzekwować.

Jednym z argumentów przedstawianych za tym aktem było to, iż miał implementować wcześniejszy traktat o rozszerzeniu praw autorskich. Traktat został opublikowany przez WIPO, Światową Organizację Własności Intelektualnej, zdominowaną przez grupy interesów posiadaczy praw autorskich i patentów, z pomocą nacisków administracji Clintona; ponieważ traktat tylko zwiększa zakres prawa autorskiego, a to, czy służy interesom ogółu w jakimkolwiek państwie, jest raczej wątpliwe. W każdym razie, ustawa poszła znacznie dalej niż wymagał tego traktat.

Biblioteki były głównym źródłem sprzeciwu przeciw projektowi tej ustawy, zwłaszcza przeciw tym aspektom, które blokują formy kopiowania, które uważa się za „dozwolony użytek”. Jak odpowiedzieli wydawcy? Były parlamentarzysta Pat Schroeder, obecnie lobbysta na rzecz Association of American Publishers, Amerykańskiego Związku Wydawców, powiedział, że wydawcy „nie mogą się zgodzić na to, o co prosiły biblioteki”. Ponieważ biblioteki prosiły tylko o zachowanie status quo, należałoby odpowiedzieć, iż zastanawiające jest, jakim cudem wydawcy w ogóle przetrwali do dnia dzisiejszego.

Kongresmen Barney Frank, na spotkaniu ze mną oraz innymi, którzy sprzeciwiali się projektowi tej ustawy, pokazał, jak dalece zlekceważono konstytucyjną koncepcję prawa autorskiego. Powiedział, że nowe prawa, poparte sankcjami karnymi, były pilnie potrzebne, ponieważ „przemysł filmowy jest zaniepokojony”, jak również „przemysł muzyczny” i inne „przemysły”. Zapytałem go: „ale czy to jest w interesie ogółu?”. Jego odpowiedzią było: „Dlaczego mówi pan o interesie ogółu? Ci kreatywni ludzie nie muszą rezygnować ze swoich praw dla interesu ogółu!”. Tak więc „przemysł” został utożsamiony z „kreatywnymi ludźmi”, których wynajmuje, prawo autorskie potraktowane jako wydane przez niego „uprawnienia”, a konstytucja — postawiona do góry nogami.

Ustawa DMCA została uchwalona w 1998. W przyjętym kształcie postanawia, że dozwolony użytek teoretycznie pozostaje legalny, ale zezwala wydawcom na zakazanie wszelkiego oprogramowania czy sprzętu, za pomocą którego można by było realizować swoje prawo do dozwolonego użytku. Faktycznie dozwolony użytek jest zabroniony.

W oparciu o te przepisy przemysł filmowy nałożył cenzurę na wolne oprogramowanie pozwalające na odczytanie i odtwarzanie zawartości dysków DVD, a nawet na informacje o tym, jak je odtwarzać. W kwietniu 2001 Recording Industry Association of America (RIAA, Amerykańskie Stowarzyszenie Przemysłu Nagraniowego) zastraszyło groźbami pozwu profesora Edwarda Feltena z Uniwersytetu w Princeton, żeby wycofał pracę naukową, w której opisał, czego nauczył się o systemie kodowania proponowanym jako środek ograniczenia dostępu do muzyki.

Widzimy, jak zaczynają pojawiać się książki elektroniczne, e-booki, które odbierają czytelnikom wiele tradycyjnych wolności — na przykład, wolność pożyczenia książki przyjacielowi, odsprzedania jej do sklepu z używanymi książkami, wypożyczenia jej z biblioteki, kupna jej bez podawania swoich danych korporacyjnemu bankowi danych, a nawet prawo do jej dwukrotnego przeczytania. Zakodowane książki elektroniczne generalnie pozbawiają tych możliwości — możesz je przeczytać tylko za pomocą specjalnego tajnego oprogramowania, opracowanego, by cię ograniczyć.

Nigdy nie kupię jednej z tych zaszyfrowanych, ograniczonych książek elektronicznych, i mam nadzieję, że wy też je odrzucicie. Jeśli e-book nie daje takich samych praw jak książka tradycyjna, nie akceptuj go!

Każdy, kto niezależnie wypuszcza oprogramowanie potrafiące odczytywać ograniczone książki elektroniczne ryzykuje oskarżenie przed sądem. W 2001 roku rosyjski programista Dimitrij Skliarow został aresztowany podczas pobytu w Stanach, gdzie miał wystąpić na konferencji, ponieważ napisał taki program w Rosji, gdzie było to prawnie dozwolone. Teraz Rosja przygotowuje prawo, które też ma tego zabraniać, a Unia Europejska ostatnio takie prawo przyjęła.

Masowy rynek książek elektronicznych okazał się jak dotąd komercyjną klapą, ale nie dlatego, że czytelnicy zdecydowali się bronić swoich wolności. Nie były atrakcyjne z innych powodów, między innymi dlatego, że czytanie z monitorów komputerowych nie

należy do czynności łatwych. Nie możemy jednak polegać na tym, że ten szczęśliwy przypadek będzie nas chronił na dłuższą metę. Kolejna próba promowania książek elektronicznych zostanie oparta na wykorzystaniu „elektronicznego papieru” — książko-podobnego obiektu, do którego będzie można pobierać zaszyfrowane, ograniczone e-booki. Jeśli ta papiero-podobna powierzchnia okaże się bardziej skuteczna niż dzisiejsze ekrany monitorów, będziemy musieli bronić naszej wolności. Tymczasem e-booki dokonują inwazji w segmentach niszowych: Uniwersytet w Nowym Jorku i inne szkoły stomatologiczne wymagają od studentów, żeby kupowali swoje podręczniki w formie ograniczonych książek elektronicznych.

Ale firmy medialne wciąż nie są zadowolone. W 2001 finansowany przez Disneya senator Hollings przedstawił projekt aktu nazwanego „Security Systems Standards and Certification Act” (SSSCA, „Ustawa o Standardach i Certyfikacji Systemów Bezpieczeństwa”)[1], który wymagałby, aby wszystkie komputery (oraz inne urządzenia umożliwiające cyfrowy zapis lub odczyt) miały zatwierdzone przez rząd systemy ograniczające kopiowanie. To jest ich ostateczny cel, ale pierwszym punktem ich planu jest zakazanie wszelkich urządzeń, które mogą odbierać programy nadawane w systemie HDTV (cyfrowej telewizji wysokiej rozdzielczości), o ile takie urządzenia nie zostaną zaprojektowane w taki sposób, aby ogół nie mógł nimi „manipulować” (innymi słowy modyfikować dla własnych celów). Ponieważ wolne oprogramowanie jest oprogramowaniem, które użytkownik może swobodnie modyfikować, stajemy tu po raz pierwszy w obliczu prawa, które wyraźnie zakazuje zastosowania wolnego oprogramowania dla wykonania określonego zadania. Zakazy uwzględniające inne rodzaje zadań z pewnością zostaną zaproponowane w przyszłości. Jeśli FCC, Federalna Komisja Komunikacji, zaakceptuje te zapisy, istniejące wolne oprogramowanie, takie jak GNU Radio, zostanie ocenzurowane.

Zablokowanie tych ustaw i przepisów wymaga działań politycznych[2].

Znalezienie właściwej umowy

Jaka wygląda słuszna droga dla zdecydowania o polityce praw autorskich? Skoro prawo autorskie jest umową zawartą w imieniu ogółu, to powinno przede wszystkim służyć interesowi ogółu. Obowiązkiem rządu, kiedy sprzedaje wolność ogółu, powinno być sprzedanie tylko tego, co jest konieczne, i to za najwyższą możliwą cenę. Absolutnie minimalnym krokiem powinno być okrojenie zakresu prawa autorskiego, tak jak to tylko możliwe, zachowując jednocześnie porównywalny poziom publikacji.

Skoro tej płaconej wolnością ceny minimalnej nie możemy znaleźć metodą przetargów, jak to jest czynione przy projektach budowlanych, to jak ją możemy znaleźć?

Jedną z możliwości jest stopniowe redukcje przywilejów płynących z prawa autorskiego i obserwowanie rezultatów. Obserwując, czy i kiedy zacznie zachodzić uszczuplenie w ilości publikacji, zobaczymy, ile uprawnień z prawa autorskiego jest nam rzeczywiście potrzebne do osiągnięcia celów ogółu. Musimy to ocenić przez faktyczną obserwację, nie przez to, co powiedzą wydawcy, zwłaszcza, że są oni bardziej niż skłonni

do dokonywania przesadzonych szacunków i roztaczania wizji zagłady, jeśli ich uprawnienia zostałyby w jakimkolwiek stopniu zmniejszone.

Polityka wobec prawa autorskiego składa się z kilku niezależnych wymiarów, które mogą być oddzielnie dostosowywane. Kiedy znajdziemy konieczne minimum w jednym z wymiarów, wciąż możliwe będzie zredukowanie innych wymiarów prawa autorskiego przy równoczesnym zachowaniu pożądanego poziomu publikacji.

Jednym z istotnych wymiarów prawa autorskiego jest czas jego trwania, który teraz kształtuje się w okolicy jednego stulecia. Pierwszy dobry krok stanowiłoby ograniczenie monopolu na kopiowanie do dziesięciu lat, licząc od daty, kiedy utwór został wydany. W innym aspekcie prawa autorskiego, regulującym tworzenie pochodnych utworów, mógłby obowiązywać dłuższy okres.

Dlaczego liczyć od daty wydania? Ponieważ prawo autorskie na niewydane utwory nie ogranicza bezpośrednio wolności czytelników; to, czy mamy prawo do kopiowania utworu, nie ma znaczenia, jeśli nie mamy żadnego egzemplarza. Tak więc przyznanie autorom dłuższego okresu na wydanie utworu nie czyni szkody. Autorzy (którzy zwykle dysponują prawami autorskimi przed opublikowaniem utworu) rzadko zdecydują się na opóźnienie publikacji tylko po to, aby przesunąć w czasie okres działania praw autorskich.

Dlaczego dziesięć lat? Ponieważ jest to bezpieczna propozycja. Z powodów praktycznych możemy być pewni, że ta redukcja miałaby mały wpływ na ogólną żywotność współczesnego wydawania. W większej części mediów i gatunków, utwory, które odnoszą sukces, przynoszą bardzo dużo zysku tylko w ciągu kilku lat, ponadto nawet utwory, które odniosły sukces, nie są już w druku grubo nim minie dziesięć lat. Nawet pracom encyklopedycznym, które mogą być użyteczne przez wiele dziesięcioleci, powinien wystarczyć dziesięcioletni okres ochronny — regularnie wydawane są uaktualnione wydania, a wielu czytelników chętniej kupi aktualne wydanie objęte prawem autorskim niż skopiuje dziesięcioletni egzemplarz stanowiący *public domain*, dobro publiczne.

Dziesięć lat może być i tak zbyt długim okresem niż jest to potrzebne. Kiedy sprawy się ustabilizują, możemy dokonać dalszych redukcji, żeby dostroić system. Na spotkaniu dotyczącym prawa autorskiego podczas konwencji literackiej, gdzie zaproponowałem dziesięcioletni okres działania praw autorskich, siedzący obok mnie znany autor fantasy gwałtownie zaoponował, twierdząc, iż wszystko ponad okresem 5-letnim jest nie do przyjęcia.

Ale przecież nie musimy stosować tego samego okresu do wszystkich rodzajów utworów. Zachowanie skrajnej jednolitości polityki praw autorskich nie jest kluczowe dla interesu ogółu, a prawo autorskie już stosuje wiele wyjątków dla szczególnych zastosowań i mediów. Byłoby nierozsądne płacić za każdy projekt autostrady stawkę konieczną do zapłacenia za najtrudniejsze projekty w najdroższych regionach kraju.

Równie nierozsądne jest za wszelkie rodzaje sztuki „płacić” wolnością tę najwyższą cenę, którą uważamy za konieczną w przypadku jednego z rodzajów.

Tak więc, być może powieści, słowniki, programy komputerowe, piosenki, symfonie i filmy powinny mieć różne okresy działania praw autorskich, tak abyśmy mogli dla każdego spośród rodzajów ograniczyć odpowiedni okres do takiego czasu, jaki jest konieczny, żeby wydawano wiele tego rodzaju utworów. Być może filmy trwające dłużej niż godzinę powinny mieć dwudziestoletni okres ochronny, ze względu na koszty ich produkcji. Na moim polu, programowania komputerowego, trzy lata powinny wystarczyć, ponieważ cykl życia produktu jest jeszcze krótszy.

Inną płaszczyzną polityki prawa autorskiego jest zakres dozwolonego użytku — pewne możliwości powielania w całości lub w części wydanego utworu, które są prawnie dozwolone, nawet jeśli utwór objęty jest prawem autorskim. Naturalnym pierwszym krokiem w redukcji tej płaszczyzny władztwa prawa autorskiego jest pozwolenie na incydentalne prywatne wykonywanie niewielkich ilości niekomercyjnych kopii i rozprowadzanie wśród pojedynczych osób. To wyeliminowałoby wtargnięcie policji praw autorskich w prywatne życia ludzi, przy czym prawdopodobnie miałyby mały wpływ na sprzedaż opublikowanych prac. (Może być konieczne podjęcie innych kroków prawnych celem zagwarantowania, że nie można zabronić takiego kopiowania przez użycie licencji typu shrink-wrap, zastępujących regulacje prawa autorskiego). Doświadczenie Napstera pokazuje, że powinniśmy także dopuścić niekomercyjną redystrybucję niezmiennych egzemplarzy dla ogółu społeczeństwa — skoro tak duża liczba osób chce kopiować i się dzielić i uważa, że jest to użyteczne, tylko drakońskie środki będą w stanie ich powstrzymać, a ogół zasługuje, aby dostać to, czego chce.

Dla powieści oraz ogólnie dla utworów, których przeznaczeniem jest rozrywka, niekomercyjne wierne redystrybuowanie może być wystarczającą wolnością dla czytelników. Programy komputerowe, jako że są używane do osiągnięcia celów funkcjonalnych (wykonania pracy), wymagają dodatkowych wolności, łącznie z wolnością do wydania poprawionej wersji. Objasnienia wolności, jakie powinni mieć użytkownicy oprogramowania komputerowego, umieszczono w rozdziale „Definicja wolnego oprogramowania”. Możliwym do zaakceptowania kompromisem mogłoby być przyznanie powszechnej dostępności, ale po upływie dwóch lub trzech lat od wydania programu.

Takie zmiany mogłyby pozwolić na dostosowanie prawa autorskiego do życzeń ogółu, jakim jest użycie cyfrowych technologii do kopiowania. Wydawcy bez wątplenia uznają te propozycje za „niewyważone”: mogą zagrozić, że zabiorą swoje zabawki i pójdą do domu, ale wiemy, że tego nie zrobią, ponieważ ta zabawa wciąż pozostanie bardzo dochodowym zajęciem i będzie to jedyne takie zajęcie w okolicy.

Rozważając kwestie redukcji w prawie autorskim, musimy upewnić się, że firmy medialne nie zastąpią go w prosty sposób umowami licencyjnymi z końcowym użytkownikiem (EULA). Koniecznym byłby zakaz umownego wyłączania uprawnień przyznawanych przez ustawę. Takie ograniczenia tego, co może narzucać masowy rynek

za pomocą umów nie podlegających negocjacji, są standardową częścią amerykańskiego systemu prawa.